Zeszyt 22. Lwów dnia 10. Sierpnia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA	WYCHODZI	W. MANIECKI
kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark.	dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca.	Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki. hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

(C. d.) Ujrzawszy się panią tak znacznej gotówki, i to wśród okoliczności tak trudnych, kiedy z jednej strony głód i zimno wdzierały się do ich mieszkania, a z drugiej strony dolatywały ją jęki ojca chorego, zawahała się jak człowiek stojący na drodze rozstajnej, i zapytała: wziąć, czy nie wziąć? — bo od tego zawisło: być lub nie być! Była już chwila, że przywiązanie córki zaczęło brać górę nad dumą dziewiczą, lecz na szczęście nie trwało to długo. W czas przypomniała sobie, co ojciec powiedział: że dziewica, która dotknie się jałmużny, sprzeda się na zawsze, to też odtrąciła pokusę i wzmocniona na duchu, postanowiła walczyć dalej o własnych siłach. Do tego zwycięstwa przyczyniła się niemało okoliczność następująca. Podczas gdy pieniądze w ręce trzymając, w zamyśleniu dokoła spoglądała, wzrok jej padł na dwa obrazki obok siebie wiszące, które ojciec kupił w Paryżu. Wyobrażały one sceny z mitologji, a malowane na atłasie, przez jakiegoś bardzo znakomitego artystę, były niepośledniej wartości. Wandzia chodząc na lekcje do pensjonatu, uważała od pewnego czasu w mieście sklep z obrazami, w którego drzwiach szklanych było wywieszone ogłoszenie, że właściciel magazynu kupuje obrazy oryginalne. Wśród okoliczności tak trudnych, w jakich się znajdowała, lepiej było sprzedać obrazki, mimo że je ojciec bardzo lubił, niż przyjąć jałmużnę od dobroczyńcy nieznanego. Nie wahając się zatem dłużej, napisała znowu list do prezydenta miasta, a podpisawszy pod nim swego ojca, wysłała z nim Franię. Gdy go pieczętowała, najrozmaitsze myśli snuły jej się po głowie, które jednak odtrąciła jako nieprawdopodobne. Wszakże to jedno wątpliwości nie ulegało, że osoba, która im pieniądze przysyłała, musiała być istotą zacną, nie żądającą za dobre serce ani od nich podzięki, ani pochwały od drugich. Gdy między znajomemi zaczęła szukać tego, ktoby mógł coś podobnego uczynić, przyszli jej znowu na myśl Juljan i Czudek. O pierwszym wiedziała, że dotąd nie wrócił, a jeźli co do drugiego miała jakie wątpliwości, wszystkie one musiały w tym samym dniu pierzchnąć. Oto adwokat przyszedłszy jak według zwyczaju, zaczął coś mówić o ciężkich czasach, potem przechodząc na chorobę pana Wybickiego, zapytał Wandzię z uśmiechem, czy nie mógłby jej służyć jaką „bagatelką“ — bo chociaż pieniądz jest z każdym dniem droższym i jemu u ludzi nie mało już „przepadło“ — z przyjaźni dla panny Wandy, gotów by jednak odstąpić od „zasady“ której teraz trzymać się musi, by nie zbankrutować, i pożyczy jej „na słowo“ kilkadziesiąt guldenów. Przy końcu przemówienia dodał uwagę, którą poparł najsłodszym ze swoich uśmiechów, że czyni to w głębokiem przekonaniu, iż tych pieniędzy nie będzie potrzebował nigdy odbierać.

Propozycja Czudka była zrobiona w formie tak brutalnej, powiemy nawet nikczemnej, że Wandzi wszystka krew zbiegła się do twarzy i musiała wezwać na pomoc całą siłę woli, ażeby impertynentowi drzwi nie pokazać. Ją to stokroć bardziej zabolało, niźli jego oświadczyny! Powstrzymując oburzenie, podziękowała mu grzecznie, ale tak lodowato, że każdego innego musiało by to zmrozić. Czudek nie należał jednak do ludzi, których lada co może rozegrzać lub

oziębić. Jak niedawno kosza, tak teraz odmowę przyjął z uśmiechem, i znowu prosił pannę Wandę, by o tem pomówiła z papą dobrodziejem, gdy się zbudzi, poczem jak według zwyczaju zaczął pić herbatę. Ale ojciec nie miał się dowiedzieć o tem nowem wydarzeniu; właśnie w tym samym dniu zapadł w tyfus, w którym stracił przytomność.

Wandzia zdjąwszy obrazki ze ściany, osłoniła je chustką i chciała wyjść z domu — lecz gdy pierwszy krok zrobiła, poznała że nie potrafi wejść do magazynu i z kupcem się targować. Ponieważ czas uchodził, napisała więc do kupca słów kilka na swoim bilecie, a oddawszy Frani bilet i obrazki, powiedziała jej gdzie ma iść z niemi. Dziewczyna o nic więcej nie pytała. Po jej odejściu Wandzia poszła do pokoju ojca, i usiadłszy przy jego łóżku zaczęła mu przykładać zimną wodę do głowy.

Frania biegła szybko, a stanąwszy przed sklepem Storcha, weszła prędko i odważnie. W magazynie prócz samego kupca nikogo więcej nie było. Storch przeczytawszy bilet, odłożył go na bok i uważnie począł się obrazkom przypatrywać. Musiał być znawcą i miłośnikiem sztuki, w miarę bowiem jak badał szczegóły, przyczem obrazki ile możności najlepiej do światła ustawiał, oko jego rozjaśniało się i twarz się uśmiechała. Frania widząc to, nie mogła wyjść ze zdziwienia. Kto słyszał, aby człowiek rozumny uśmiechał się do malowidła!

Przypatrzywszy się obrazkom, Storch wziął znowu bilet do ręki, a przeczytawszy go drugi raz uważnie, przyłożył rękę do czoła i myśleć zaczął. Nazwisko Wybickich nie było mu obce. Gdzieś je słyszał — ktoś mu o niem mówił... Myślał, myślał, dopóki sobie nie przypomniał. Wszak Juljan, wróciwszy ostatni raz z Warszawy, z tak wielkim zapałem mówił mu o pannie Wandzie Wybickiej, którą poznał w Królestwie, że aż on, Storch, musiał go reflektować, by wśród zapału miłośnego nie zapomniał o interesach! Więc to ta sama... więc ona jest tu... a Juljan bawi tymczasem we Wiedniu i nic o tem nie wie!

— Gdzie twoja pani mieszka? — zapytał Franię, którą długie czekanie bardzo już niecierpliwiło.

— Pod wysokim Zamkiem — odpowiedziała dziewczyna, dodając liczbę i nazwisko właściciela kamienicy.

— Dobrze... idź do domu i powiedz swojej pani, że ja sam do niej przyjdę, obrazki mogą tymczasem u mnie zostać.

Frani nie podobał się ten projekt.

— Jeżeli pan chce, to może pan przyjść, ale obrazków nie zostawię, bo panienka nie mówiła, abym zostawiała.

Storch spojrzał na dziewczynę i uśmiechnął się pomyślawszy, że boi się mu zaufać.

— A twoją panienkę można teraz widzieć? — zapytał.

— Czemu nie... panienka jest w domu, bo pan bardzo chory. Aż mnie strach zbiera że tak długo tu stoję, a ona tam sama została.

W umyśle Storcha jasno się zrobiło. Więc te obrazki ona przysłała na sprzedaż z konieczności nieubłaganej, ponieważ jej ojciec jest chory! Więc oni są w biedzie, w nieszczęściu! Mając dobre serce, nie pytał o więcej, ani zastanawiał się nad tem, jakim cudem p. Wybicki znalazł się z córką we Lwowie, lecz coprędzej zdawszy sklep na swego pomocnika, wyszedł z Franią, która obrazki niosła znowu pod pachą.

Gdy przyszedł do naszych przyjaciół, w rozmowie z panną Wybicką nie wspomniał jej ani jednem słowem o Juljanie Rossowskim, lecz chcąc ją samą wybadać, zaczął od tego, że przysłane mu obrazki są zbyt piękne i kosztowne, by je godziło się we Lwowie sprzedawać.

— Tanio nie mogę ich kupić od pani — rzekł w końcu — gdyż bym panią oszukał, a tyle, ile są warte, także nie mogę zapłacić, ponieważ u nas nie znalazł bym na nie kupca. Zresztą one są tak piękne, że je szkoda sprzedawać.

Wandzia wysłuchała tych słów z przerażeniem. Wszak te obrazki były jej ostatnią nadzieją — jedyną kotwicą ratunku! Bojąc się, by kupiec w rzeczy samej tak nie postąpił, jak zapowiedział, wszczęła z nim rozmowę, a że jego fizjognomja przyjemne na niej zrobiła wrażenie, miał bowiem oczy, które zaufanie budziły, zaczęła więc z nim rozmawiać, i słowo po słowie powiedziała mu wszystko, czyli raczej pozwoliła mu się domyśleć, że do tej sprzedaży zmusza ją konieczność nieubłagana.

Storch usłyszawszy co chciał usłyszeć, nie żądał więcej szczegółów; przeciwnie domyślając się, że taka spowiedź pannie Wybickiej musiała wielką przykrość sprawiać, przerwał ją w sam czas słowami tak uprzejmemi, że Wandzia była mu za nie serdecznie wdzięczną. Gdy się zupełnie uspokoiła, kupiec przemówił:

— Muszę pani wyznać, że ja sam nie jestem właścicielem magazynu. Właściciela nie ma teraz we Lwowie, to też choćbym rad z całego serca, nie mogę kupić tych obrazów. Zrobimy jednak inaczej. Ja je wezmę i w sklepie na sprzedaż wystawię, może zgłosi się jaki dobry kupiec, a może i sam właściciel przyjedzie, tymczasem zaś ośmielę się zostawić pani a conto pięćdziesiąt guldenów.

Wandzia nie wiedziała jak podziękować. Pieniądze, które dawał, przy oszczędności zapewniały jej dłuższą egzystencję — a że później

miało być lepiej, o tem chwili nie wątpiła. Przeczucie ciągle jej powtarzało, że ich niedostatek jest chwilowy, przemijający, i że po tych dniach ciemnych i smutnych, musi wesołe słońce zajaśnieć.

Dr Czudek nie widząc nazajutrz obrazków na ścianie, natychmiast się domyślił, gdzie się podziały, a że w mieście był podówczas jeden tylko magazyn z obrazami, poszedł więc prosto do Storcha. Gdyby Wandzia nie była teraz tak znękaną, tak boleścią przygnębioną, byłaby sobie może przypomniała, że dr Czudek mówił jej ongi, gdy Juljana obmawiał, iż tenże obrazami handluje, poczem już bez trudności byłaby się domyśliła, że Storch był właśnie zastępcą tego, którego ona z taką niecierpliwością wyglądała. Na szczęście słowa adwokata nie przyszły jej były na myśl, dzięki czemu przed Storchem nie potrzebowała wstydzić się swego ubóstwa.

Storch zobaczywszy Czudka w magazynie, niemile został tem tknięty. Znając adwokata aż nadto dobrze, nię cierpiał go z całej duszy i nieraz mówił Juljanowi: Przekonasz się, że to łotr! On mu to mówił jeszcze ongi, za lat studenckich, gdy Juljan brał Czudka w obronę. Wiedząc, że adwokat nic nie kupi, obrazy bowiem nie należały do rzeczy, na które on pieniądze wydawał, czekał stojąc za ladą, co też powie gość szanowny. I nie długo czekał. Czudek rozglądnąwszy się po magazynie, i ujrzawszy znane mu dobrze obrazki, zaczął Storchowi mówić długo i szeroko o potrzebie przestrzegania wielkiej ostrożności przy zakupywaniu obrazów, a gdy Storch odparł, że będąc kupcem z zawodu, wie jak postępować, adwokat rzekł temi słowy:

— Nie bądź pan tak pewnym, gdyż strzeżonego pan Bóg strzeże. Oto naprzykład te dwa obrazki, które wiszą na lewo, kupiłeś pan od ludzi, których wcale nie znasz, i bardzo być może...

Tu Czudek urwał jakby nie wiedział, co powiedzieć.

— Czy są kradzione? — zapytał Storch ironicznie.

— Jam tego nie powiedział — pospieszył adwokat zaprzeczyć — jakem poczciw coś podobnego ani mi przez myśl nie przeszło, ale z tem wszystkiem bardzo wątpię, by te obrazki były własnością tych osób, od których je pan nabyłeś... O ile wiem, mają one znaczną wartość, a ci ludzie to biedaki, wielkie biedaki! Jeden z moich klientów polecił ich mojej opiece. Jakem poczciw nie wiem co z nimi począć!

Nikczemność Czudka do głębi poruszyła młodego człowieka, ale ponieważ nie trudno się było domyśleć, że adwokat mówił to w pewnych zamiarach, więc aby go lepiej wybadać, rzekł:

— Ja te obrazki wziąłem tylko w komis... a conto dałem pięćdziesiąt guldenów, a z kupnem wstrzymałem się do przyjazdu Juljana.

Czudek żachnął się, jakby go tarantula w nos ukąsiła.

— Ciekawym na co jeszcze Juljana w to mięszać... Na co on się ma z temi ludźmi poznawać? Ot najlepiej pan zrobisz, jeżeli natychmiast odeszlesz im te obrazki, ja zaś oddam panu za nich pięćdziesiąt guldenów, które sobie potem odbiorę od mojego klienta. Kiedy mi ich polecił, niech więc za nich płaci.

— Bardzo mnie dziwi — Storch przemówił — co to Juljanowi może szkodzić, jeżeli się z nimi pozna.

— Co? Bardzo mu to może szkodzić, o! bardzo. Trzeba panu wiedzieć — dodał adwokat ciszej — że jest to dom wątpliwej reputacji.

— Doprawdy?

— Niestety, tak jest, chociaż na to wcale nie wygląda... Gdyby później dowiedział się pan Czarkowski, że jego siostrzeniec bywa w takim domu, gotów by go jeszcze wydziedziczyć. Jako przyjaciel Juljana muszę więc temu być przeciwnym, a i pan, jeźli mu dobrze życzysz, powinieneś wszystko uczynić, by tych ludzi nie poznał.

Storchowi ręka zaświerzbiała. Już ją podniósł, już miał ją spuścić na twarz stojącego adwokata, gdy sobie przypomniał, że ten człowiek szczyci się całem zaufaniem pana Czarkowskiego. Znieważony w magazynie Juljana, jakkolwiek nie przez niego samego, byłby potem mścił się na nim, czerniąc go przed wujem. Aby więc przyjacielowi nie szkodzić, Storch schował rękę do kieszeni, a zbywszy adwokata ni tem, ni owem, zaczął po jego odejściu szukać powodów, które go skłaniały do takiego postępowania. Storch mimo wzrostu szczupłego i figury niepokaźnej, miał umysł bardzo żywy, przytomny i sprytny; nie długo też łamał sobie głowę nad zbadaniem prawdy. W godzinę po oddaleniu się adwokata był najpewniejszym, że panna Wanda, która w rzeczy samej była taką, jaką ją Juljan malował, to jest prześliczną, musiała w Czudku obudzić coś nakształt miłości, i dla tego radby od niej odsunąć wszystkich mężczyzn młodych i przystojnych, a między nimi szczególnie Juljana Rossowskiego, o którym przecie musiał się już dowiedzieć, że zna pannę Wybickę.

Storch nie poprzestając na samym domyśle, zaczął śledztwo na własną rękę, z właściwą sobie przezornością i wytrwałością. Po kilku też dniach miał wszystko jak na dłoni. Dzięki dobrodusznej gadatliwości Frani, łakomstwu żydówki, u której Wandzia sukienki zastawiała, do tygodnia wiedział najdokładniej, że dr. Czudek chce koniecznie poślubić pannę Wybickę, mimo że ona stanowczo się temu opiera. Że do ołtarza, adwokat postanowił zaprowadzić swoją wybraną bolesną drogą nędzy, to było tak widoczne, że do tego wniosku Storch doszedł już sam bez trudności.

Storch był kupcem, ale i człowiekiem. Ilekroć było u niego w grze większe uczucie, zapominał o cyfrach i szedł za rozkazem uczciwości. Tak postąpił i w tym wypadku. Rozum kupiecki mówił mu, że Juljan powinien teraz we Wiedniu siedzieć i interesów pilnować, a głos wewnętrzny nakazywał, by Juljana jak najprędzej do Lwowa sprowadził. Jeżeli panna Wanda nie jest mu obojętną, więc czy godzi się przed przyjacielem to w tajemnicy ukrywać, co się tu z nią dzieje? Zresztą kto go mógł zapewnić, że zanim Juljan wróci, Czudek nie dopuści się ostateczności! Wszak według jego przekonania, człowiek ten był zdolnym do czynów najohydniejszych. Dwa dni walczyły w Storchu dwie siły, niby dwa sumienia: kupieckie i ludzkie, lecz u schyłku dnia drugiego, człowiek pokonał kupca. A że zwycięstwo było zupełne, więc coprędzej zatelegrafował do swojego przyjaciela, by bez względu na sprawy majątkowe niezwłocznie wracał do domu. Depesza, jak to widzieliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, była w rzeczy samej bardzo lakoniczna, to też Juljan otrzymawszy ją nie namyślał się ani chwili i coprędzej wracał do Lwowa.

XIII.

Choroba pana Wybickiego groźny przybrała charakter. Po całych dniach leżał w gorączce, majaczył, zrywał się z łóżka, urywanemi słowami wołał, by mu jaką broń podano, gdyż chce sobie życie odebrać, słowem przechodził jeden z najcięższych tyfusów. Czasem zdawało się, że odzyskuje przytomność; wtedy patrzył na córkę i uśmiechał się do niej jakby ją poznawał i chciał przemówić — wkrótce jednak wpadał znowu w malignę, a Wandzia z rękami załamanemi stała przy łożu ojca, prosząc Boga o zdrowie dla niego. Jej usta niedawno jeszcze rumiane i życia pełne, pobladły jak listki róży, gdy je mróz zwarzy; oczy usunęły się w głąb i matowem światłem jaśniały; cały wyraz twarzy zrobił się poważny i bolesny. Nie była to już dziewica w rozkwicie; to była druga Niobe z sercem przebitem. I była by do niej całkiem podobną, tak dusza jej bolała, gdyby, nie wyraz prawdziwie chrześcijańskiej rezygnacji i ufności, który widniał w każdym rysie jej twarzyczki. Ona nie była poganką złorzeczącą bóstwu — ona była dziewicą chrześcijańską, spodziewającą się wesela i pociechy po dniach niedoli. Nie upadała też na duchu, nie rozpaczała, ale z przytomnością znamionującą wyższe umysły, i z odwagą godną jej duszy, chodziła koło chorego ojca.

Bojąc się, że pieniędzy wkrótce znowu jej zabraknie, chciała odprawić Franię, a na jej miejsce przyjąć służącę dochodzącą, która by ją taniej kosztowała. Frania domyśliwszy się, dla czego ją panna chce oddalić, padła jej do nóg i z płaczem prosić zaczęła, by tego nie czyniła.

— Gdzie też panienka da sobie radę z chorym panem! — mówiła w rękę ją całując. — Sługa dochodząca to wróg ciężki... każda z nich rada by czem bądź zbyć, aby prędzej do domu odejść. Niech mnie panienka nie odprawia... ja będę za połowę pensji, nawet za darmo, a potem jak państwu będzie lepiej, to i o mnie nie zapomnicie.

Frania tak prosiła, że w końcu Wandzia wzruszona jej łzami i dobrem sercem ujęta, nadal ją zostawiła. Dziewczyna była uradowana, jakby ją największe szczęście spotkało.

Dr. Ragner przychodził co dzień, czasem dwa razy na dzień i chorym dość gorliwie się zajmował; przeciwnie dr Czudek odkąd się dowiedział, że pan Wybicki chory jest na tyfus, na herbatkę nigdy już nie przychodził, i w mieszkaniu naszych przyjaciół rzadko się pojawiał, chociaż z panną Wandą jak dawniej co dzień się widywał. Wiedząc, w których pensjonatach i w których godzinach lekcyj udziela, jak nie mniej do którego chodzi kościoła, czatował na nią zawsze na ulicy i potem odprowadzał ją do domu. Wprawdzie podczas takich wycieczek, nie mogąc jej kroku dotrzymać, biedny adwokat nie raz dobrze się zasapał, i długo potem nie mógł przyjść do siebie, lecz Wandzia uwagi na to nie zwracała. Do jej domu przychodził na kilka minut, na kwadrans najdłużej, a pokręciwszy się trochę po pierwszym pokoju, wynosił się natychmiast, jak skoro usłyszał jęk w drugim pokoju. W takich razach Wandzia spieszyła zawsze do ojca; Czudek zaś nie życzył sobie ją oglądać, gdy od chorego wracała. Bo któż mógł zaręczyć, że córka właśnie teraz nie przyniesie tyfusu do pierwszego pokoju? Wandzia podpatrzywszy tę taktykę, bo czegoż kobieta chcąc nie dojrzy, pozbywała się prędko gościa natrętnego, wychodząc pod pierwszym lepszym pozorem do ojca. Czudek zgrzytał zębami i zaraz się wynosił. Był to więc tchórz, tchórz skończony, ale z drugiej strony był to znowu człowiek wytrwały, nie cofający się z połowy drogi, który gdy w nim raz namiętność zawrzała, był może zdolny nawet tchórza w sobie pokonać!

Wyrządzilibyśmy wielką krzywdę naszej bohaterce, gdybyśmy powiedzieli że wśród nieszczęść jakie na nią spadały i wśród troski o chorego ojca, zapomniała o Juljanie. Nie, ona o nim myślała, częściej nawet niżby może sama tego pragnęła i jak dawniej posyłała Franię do dworku pana Czarkowskiego. Dziewczyna przynosiła jednak zawsze smutną wiadomość, że pan Juljan dotąd nie wrócił. W ostatnich dniach Wojciech rozgadawszy się z Franią w przedpokoju, wynurzył przed nią swoje zdziwienie

że panicz, tak długo bawi we Wiedniu, chociaż wie, że jego wujowi coraz gorzej i nie mógł gniewu utaić gdy sobie przypomniał, że jego pan biedny zostawał teraz na łasce jakichciś tam Czudków i Ragnerów. Frania wróciwszy do domu wszystko dosłownie panience powtórzyła a Wandzia porównawszy jedno z drugiem domyśliła się natychmiast, dla czego adwokat był tak niechętny Juljanowi. Widocznie Czudek chciał się wedrzeć w łaskę pana Czarkowskiego w czem mu przeszkadzał tegoż siostrzeniec.

Dzień, w którym Wandzia miała doznać wrażeń nowych, a tak gwałtownych i całe jej jestestwo wstrząsających, o jakich dotąd nawet wyobrażenia nie miała, rozpoczął się dość obszernym listem pana Ludwika, pisanym do brata. Biedny właściciel Pilawic, a raczej długów na Pilawicach ciążących, dowiadywał się najpierw jak się pan Stanisław ma i czy dobrze mu się powodzi, następuie zaś opowiadał, co się z nim dzieje. Z tej drugiej części listu, Wandzia dowiedziała się ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że Pilawice nie poszły na sprzedaż. Hrabina K. tknięta w ostatniej chwili lepszem uczuciem, wezwała pana Ludwika do Warszawy, a dowiedziawszy się od jego adwokata, w jakim stanie znajdują się Pilawice, ułożyła się z wierzycielami i majątek wzięła we własny zarząd. Aby zaś pan Ludwik nie mógł więcej nic stracić, wyznaczyła mu bardzo skromne utrzymanie i kilka rubli miesięcznie, które mu ledwie na fajkę wystarczały. Wśród takich ciężkich stosunków, pan Ludwik, przebijało to między wierszami listu, chętnie by się przeniósł do Lwowa i zamieszkał by u brata, jeżliby jeno wiedział, że panu Stanisławowi nie źle się powodzi.

Zaledwie Wandzia list przeczytała, wszedł dr. Ragner. Zbadawszy stan chorego, oświadczył, że przed północą niewątpliwie nastąpi przesilenie. Co to znaczyło nie potrzebowała pytać: albo ojciec umrze, albo żyć będzie. Trapiona najokropniejszemi myślami, strawiła kilka godzin na modlitwie i z sercem bijącem czekała nocy, a z nią wyroku życia lub śmierci. Mimo to gdy wieczór zapadł i Frania przyszła zapytać, czy ma pójść do pałacyku pod cytadelą, panienka nie kazała jej zostać.

— Idź, moja Franiu — rzekła — idź! lecz wracaj jak najprędzej. Boję się siedzieć sama jedna.

Frania jak według zwyczaju zarzuciła chustkę na głowę i cwałem wybiegła. Wandzia zaś została przy łożu chorego.

Była godzina siódma, gdy postrzegła, że w domu nie ma kropli świeżej wody, a tu trzeba było co kilka minut odmieniać okłady ojcu na głowę. W kamienicy mieszkali sami ludzie nieuczynni, stróża nie było, właściciel bowiem nie trzymał go przez oszczędność — cóż więc począć, jak sobie poradzić? Nie długo myślała: z właściwą sobie stanowczością prędko powzięła postanowienie, a przekonawszy się, że ojciec bezprzytomny leży w gorączce, zarzuciła tak samo jak Frania chustkę na głowę, a wziąwszy dzbanek gliniany w kuchni stojący, wyszła do sieni, drzwi na klucz zamknęła i z sercem bijącem zbiegła po wschodach. Gdyby miała była czas rozglądać się i śledzić, co dokoła niej działo się w tej chwili, na tej ulicy odludnej i o tej godzinie zawsze cichej, była by po drugiej stronie, nieopodal latarni smutno świecącej, postrzegła jakąś postać wysoką, która krokiem mierzonym zaczęła iść za nią.

Wandzia jednak nie widziała tej postaci. Z sercem bijącem, boć o tej godzinie sama nigdy jeszcze z domu nie wychodziła, z oczyma w ziemię wlepionemi, aby się nie pośliznąć i nie upaść, biegła do studni najbliższej, która znajdowała się daleko, bo aż na końcu uliczki, łączącej ulicę Strzelecką z dzisiejszą Teatyńską. Gdy wody naczerpała, musiała chcąc nie chcąc iść znacznie wolniej, uliczka bowiem wiodła teraz pod górę, ziemia zaś na niej i chodnik poboczny były śliską skorupą pokryte; w dzień padał deszcz, wieczorem trochę przymarzło. Była już w połowie drogi, gdy nagle pojawił się przed nią jakiś żołnierz na pół pijany, który wracając do koszar zwanych „Klasztorem czerwonym“ przytrzymał ją za rękę, wołając z czeska:

— Daj buziaka heska holka!

W oczach jej pociemniało i była bliską upadnięcia, lecz w tejże chwili nad żołnierzem pojawiła się ta sama postać wyniosła, która ją do studni odprowadzała, potężna ręka pochwyciła natrętnika za kołnierz i bohater napastujący kobiety bezbronne znalazł się na ziemi. Przykra ta niespodzianka tak nagle go spotkała, że dużo czasu upłynęło, za nim oprzytomniawszy zaczął kląć i zbierać z ziemi członki roztrzęsione.

Wandzia nie podziękowała swojemu wybawcy, bo wśród strachu wcale go nie widziała. Zebrawszy wszystkie siły biegła teraz jeszcze prędzej i bez tchu wpadła do swojej kamieniczki. Nieznajomy, który tak niegrzecznie obszedł się z pijanym żołnierzem, zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, zkąd dość długo wpatrywał się w jedno okienko pierwszego piętra. Potem westchnął i krokiem równym, mierzonym poszedł ku miastu.

Wandzia wybiegłszy po wschodach, zastała pode drzwiami Franię i dr. Czudka, jak oko przyłożywszy do dziurki od klucza, śledził co się działo wewnątrz mieszkania. On był najpewniejszy, że panna Wanda zamknęła się w pokoju; tymczasem jakież było jego zdziwienie, gdy ją spostrzegł przed sobą, w chustce na głowie i

z dzbankiem w ręce. Oczy przecierając o krok się cofnął i dopiero w pokoju odzyskał przytomność.

Zanim powtórzymy ich rozmowę, musimy pospieszyć w inne miejsce, gdyż właśnie o tej samej godzinie przyjechał do Lwowa Juljan Rossowski.

(C. d. n.)

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

(C. d.) Françis i pani Regnauld przeszli przez ogród, zdążając do altany, w której Melanja siedziała w zadumie głębokiej, z robotą na kolanach. Słońce jakby aureolą jej główkę złociło. Przybladła nieco od wczoraj, oczy jakby przez łzę patrzyły, zrobiła się poważną, smutną prawie. Pod gorącym słońca pocałunkiem, wczoraj zamknięty w sobie pączek, dziś w stulistną różę się przemienia, pod palącym promieniem miłości, dziecko, które wczoraj jeszcze było jak ptak swobodne, zajęte sobą i swemi kaprysami, dziś staje się dziewicą cichą, zamyśloną, gotową życie nawet poświęcić temu, którego jej serce niewinne wybrało. Ujrzawszy na progu Françis'a, drgnęła i znowu serduszko ścisnęło się w łonie, jakby pęknąć miało, a fala krwi do twarzy jej uderzyła. Przejęta wstydem dziewiczym zapragnęła, by trochę ciemniej było w altanie, aby tak łacno nie mógł dojrzeć ukochany zdradzieckiego rumieńca, jego pojawieniem się wywołanego.

— Bądź pan łaskaw spuścić story — przemówiła do Françis'a tak słodko, głosem tak miękkim i łagodnym, o jaki nikt by ją był nie posądził dni temu kilka.

Françis skoczył, by prośbie zadość uczynić. Okno wychodziło na wąską uliczkę, która w tem miejscu łączyła parkan ogrodu z drogą główną, którędy trakt pocztowy przechodził. Parkan miał w pewnej odległości słupy murowane, a pomiędzy niemi sztachety drewniane. Kiosk przytykał do samego rogu parkanu, gdzie zamiast słupa prostego, jak reszta, stała dla ozdoby jakby wieżyczka lub piramida z kamienia ciosowego, który stopnie formował. Ktoś, trochę w gimnastyce wyćwiczony, mógł łatwo dostać się po niej aż pod balkon kiosku, który jednym rogiem dotykał się tej wieżyczki. Françis wychyliwszy się za okno, spostrzegł człowieka, który chyłkiem, milczkiem pod parkan się podkradał. Poznał od razu Teissier'a. Pierwszą myślą jego było rzucić mu na głowę niby niechcący wazon kwiatów z okna, po chwili ochłódł w tych zamiarach bratobójczych, zamknął okno, udając, że nic nie widzi i storę spuścił.

— A może lepiej okno otworzyć — pomyślał. — Teissier, między innemi dziwactwami, lubił się wściekle gimnastykować, może mu przyjdzie ochota wleść na balkon i podsłuchiwać. co mówić będziemy. Tem lepiej! lubię pasjami interesa na czysto wyprowadzać. Niech się sam przekona, że nie ma tu już co robić.

I odszedł od okna z minką niewinniątka, by zająć miejsce wczorajsze na taburecie, którym tak zamanewrował, że znalazł się tuż przy nóżkach Melanji, a więc i od jej uszka niedaleko.

III.

Od czasu swego powrotu do Paryża, Hektor Teissier nic a nic się nie zmienił; przeciwnie charakter jego stał się bardziej chwiejnym niż kiedykolwiek. Rano budził się zawsze z myślą o niegodziwości systemu edukacyjnego pana Simart, o tem, jak Melanji w życiu więcej widzieć nie chce, bo i co by on robił z żoną tak kapryśną, a w dodatku za psami przepadającą? Wieczór zaś zaczynał rozpamiętywać, jak ona była piękną, a jak bogatą, i że przecież nie tak to będzie łatwem zadaniem znaleźć drugą Melanję. Czwartego dnia taka zmiana nastąpiła, że wieczór rano się zaczął, o to jest: że rozmyślania wieczorne, już od rana umysł i serce jego trapiły. Najprzód więc do Dramond'a ów list napisał, a w kilka godzin później, trawiony gorączką, niepokojem i pragnieniem szalonem widzenia czarującej Melanji, wsiadł i pojechał w te strony, gdzie mieszkała jego na nowo ukochana. Rwał się z początku i zdawało mu się, że podróż żółwim krokiem postępuje, im więcej jednak zbliżał się do domu pana Simart, przez naturalną reakcję swojego chwiejnego usposobienia, radby był podróż przydłużyć, by jak najpóźniej przybyć na miejsce. Na stacji zawahał się nawet, czy wysiąść, czy jechać dalej. Bo i jak się w tym domu pokazać? Jeżeli Dramond wypełnił jego polecenie, jeżeli zerwał w jego imieniu wszelkie stosunki, czy powrót jego nie będzie wyglądał jakby naigrawanie z przykrości, którą wyrządził tej rodzinie, lub jak nikczemne przyznanie się do winy? Przecież on był pokrzywdzonym. Solimana ostre zęby do dziś widne na jego ręce, a zamiast go pożałować, narzeczona go złajała i prawdopodobnie uderzyć zamierzyła. Smutne te myśli latały jak bąki po jego słabej głowie i jedna drugą spychały. Mimo, iż szedł krok za krokiem coraz wolniej... przyszedł wreszcie przed sam dom. Wyzuwszy się dobrowolnie z praw męża przyszłego, przed którym tak drzwi, jak serca rodziny stoją otworem, skradał się teraz do domu pełen bojaźni jak złodziej. Bał się jak ognia Solimana, nawet lwy z „terra-cotty“ leżące nieruchomo i najniewinniej przed drzwiami wchodowemi, wydały mu się tak straszne i potworne jak nigdy. Zdawało mu się, że strzegą domu, jak ów anioł z mieczem ognistym, strzegł bram raju. Nie miał odwagi wejść główną bramą, poszedł więc wzdłuż ogrodu. Może zapomniano zamknąć wczoraj małej furtki, tamtędy wejdzie niepostrzeżony. Pocąc się jak mysz ze strachu, przeklinał w duchu niedołęstwo papy Simart, który tak źle córkę wychował, swoją własną chwiejność i trwożliwość, kobiet kaprysy, wdanie się w tę sprawę Dramond'a — wszystko i wszystkich! Furtka była niestety zamkniętą, wtedy powziął myśl szaloną dostać się po murze na balkon kiosku, tam drzwi całe lato były otwarte, tamtędy wejdzie najłatwiej.

— Ona tam zwykle z robótką przesiaduje — myślał w duchu — zejdę ją może samą, padnę raptem na kolana, potrafię nawet łez kilka z ócz wycisnąć, kobiety lubią pasjami podobne niespodzianki, palnę jej ognisty monolog, o mojej miłości, tęsknocie, pragnieniu zostania jej najpokorniejszym niewolnikiem; to przecież nic nie kosztuje. Po ślubie, wezmę ją w kluby porządnie i musi tak tańczyć, jak jej zaśpiewam.

Tak rezonując, zaczął się wspinać jak kot po wierzyczce i wtedy spostrzegł go Dramond. Na ten widok Teissier się zawahał, ale gdy Françis zdawał się go wcale nie uważać, ośmielony i uspokojony storów spuszczeniem, wspinał się dalej i wkrótce zajął stanowisko, koło samego okna. Oparty, jedną nogą o mur, drugą o gzyms balkonu, oburącz schwycił tegoż balustradę. Story były nowe i gęste, nie mógł więc nic zobaczyć, ale nawzajem i jego nikt nie mógł dopatrzeć. Za to z podwójną uwagą uszy do słuchania przygotował.

Melanja, zdawała się zajęta wyłącznie robótką, pani Regnauld zaś wierna przyrzeczeniu, wzięła do ręki Indjanę. Pilny atoli badacz, byłby dostrzegł łacno, że pierwsza igłę wyciąga machinalnie, ściegów wcale nie robiąc, druga nader leniwo kartki obraca, a z pod oka młodą parę obserwuje. Françis, który z początku usiadł na taburecie z miną monarchy, pierwszy raz na stopnie tronu wstępującego, sparłszy z gracją ramię na poręczy fotelu, na którym Melanja siedziała, milczał także, nie wiedząc od czego zacząć i powoli, powoli, tracił coraz więcej fantazją, tak, że wkrótce zdawało mu się iż siedzi na ławie oskarzonych, a nie na miękkim taburecie u nóg ukochanej.

— Głupie położenie, co prawda — mówił sobie w duchu. — Ja, który z taką łatwością recytowałem kobietom deklaracje sążniste, gdy serce właściwie nic nie czuło, a tylko głowa mi się chwilowo zapalała; teraz jak żak przed profesorem, słowa znaleźć nie umiem. Tamte czcze deklamacje, wydałyby się profanacją mnie samemu, w obec tej anielskiej, czystej istoty. Od czego zacząć? Na czem skończyć? I ta pani Regnauld udająca że czyta, a oka z nas nie spuszczająca i ten Teissier za oknem... Bierz licho taką sytuacją! Fałszywie niegdyś utrzymywałem, że gdzie dwie pary, to tak jakby jedna była. Jest nas czworo jak obszył, a mnie jakby kto język związał, ani rusz co wymyśleć...

Milczenie i pomięszanie młodego człowieka, coraz widoczniejsze nie uszły bystrej uwadze pani Regnauld, powiększyły jednak tylko sympatją, którą miała dla niego. Znała świat dostatecznie, by przypuścić, że chłopiec piękny, wytworny, wykształcony, podbijał z łatwością serca niewieście. Dzisiejsza jego nieśmiałość, chlubnie świadczyła o szczerości uczuć jego, o głębokiem poszanowaniu obok miłości, dla tej, którą chciał nazwać żoną swoją, o jego szlachetności i braku zarozumienia, co u mężczyzn tak rzadko się spotyka. Uczucie prawdziwe najtrudniej ubrać w słowa. Wtedy więcej wypowie rzut oka, ręki ściśnienie, niżeli najszumniejsze deklamacje. Uznała jednak za stosowne, osłonić jak zwykle swoją żywą sympatją sukienką drwiącej ironji, która zdawała się z nią zrośnięta Może tym sposobem chciała biedna kobieta zamaskować porywy serca młodego, którego dotąd nie miała czem zapełnić! Sierota od lat dziecięcych, nie znała uścisku ojca, matki pieszczoty. Bóg dotąd nie obdarował jej godnością macierzyństwa, a długi i sztywny pan Regnauld, czyż mógł to serce zapełnić? Ironja służyła jej więc za tarczę, którą się zasłaniała przeciw światu i jego pokusom. I teraz puściła wodze swojej złośliwości, zagadując Françisa z nienacka:

— Wszak wspominałeś mi pan wczoraj, że miałeś list od pana Teissier? Co też panu donosił?...

Chęć dokuczenia mu i zdradziecka podstępność tych słów, wróciła właśnie Françis'owi przytomność umysłu. Ochłonął natychmiast ze wzruszenia zbytniego i odparł z krwią najzimniejszą:

— Pisał mi, że wraca i kazał złożyć u stóp pań, swoje najpowinniejsze uszanowanie. — Mówiąc to myślał w duchu: — Mniejsza z tem... początek jak każdy inny... prowadzi mnie do celu drogą najprostszą, a ta jest zawsze najpewniejszą.

— Więc wuj jego już wyzdrowiał? — pytała dalej młoda kobieta.

— Pan Marjolier był zawsze zdrów, dzięki niebu; mój przyjaciel użył jedynie tej wymówki delikatnej, gdyż uznał za stosowne oddalić się z tąd na dni kilka.

Melanja wpatrzyła się przenikliwie w oczy Françis'a.

— Jeżeli pański przyjaciel uznał za stosowne z tąd odjechać, ja nie znajduję zupełnie powodu, dla którego miał by tu kiedykolwiek powracać. Bądź pan łaskaw napisać mu to odemnie.

— Czyż byś była tak zawziętą? — zauważała z przesadzoną słodyczą w głosie pani Regnauld. — Jeżeli wraca, więc przyznaje się do winy. Gdy uzna iż zasłużył, by go Soliman pokąsał, gdy padnie przed tobą na kolana, jako grzesznik skruszony, czyż będziesz na tyle okrutną, by go odtrącić bez miłosierdzia?

— Źle ją osądziłem — myślał Teissier za oknem zawieszony — najlepsza pod słońcem kobieta!

Panna Simart boleśnie i z goryczą się uśmiechnęła.

— Czy i pan podzielasz zdanie pełne filantropji mojej kuzynki? — zwróciła się do Françis'a, wzrokiem śledząc go nieznacznie.

Françis ku niej się nachylił, z wyrazem zachwytu nadziemskiego, który musiał ożywiać twarze Świętych Pańskich, gdy objawienia się spodziewali, szepnął w samo uszko, gorąco i namiętnie:

— To nie jemu trzeba darować, ale mnie, mnie, który cię kocham nad życie, a myśl o twojem z nim małżeństwie, do rozpaczy mnię przyprowadza. Aniele najdroższy, powiedz to słowo, które ma mnię uszczęśliwić, powiedz, że nigdy żoną jego nie będziesz.

Melanja nic nie odpowiedziała, lecz jej rączka drząca i rozpalona, która wcale się nie wyrywała z miękkiej dłoni Françis'a, jej oczy we łzach pływające, za nią dość wyraźnie mówiły. Mimo, iż ten sposób był już użyty i nadużyty przez wszystkich kochanków, Françis nie znalazł przecie w tej chwili nic stosowniejszego, jak zsunąwszy się na kolana przed bóstwem swojem, całować dalej z uniesieniem tę rączkę kochaną. Ta cicha rozmowa, ta pantomina wyrazista, nie podobały się pani Regnauld. To wszystko nie wchodziło w program, który była sobie zastrzegła. Zamknęła książkę niecierpliwie, a zwracając się ku młodej parze, wyrzekła tonem najwyższego sarkazmu:

— Pięknie to jest, bronić z takim zapałem sprawy przyjaciela, moglibyście jednak być przytem uważniejsi. Mówić po cichu, gdy jest ktoś trzeci, nie jest ani grzecznie, ani przyzwoicie.

— On za mną przemawia... Co też Melanja odpowie? — westchnął Teissier, któremu wreszcie sprzykrzyło się stać w pozycji tak niewygodnej, i coraz żywiej odczuwał całą niestosowność swego postępowania.

Melanja jednym rzutem siedziała już u nóg kuzynki, ukryła główkę jak spłoszone ptasze w fałdy jej sukni, a rękę jej kurczowo ściskała. Hortensja pocałowała ją z czułością starszej siostry w czoło, Françisowi jednak pogroziła palcem bardzo znacząco. Dotąd jeszcze nie był się podniósł. Zrobił więc tylko zwrot w prawo, i sposobem najnaturalniejszym znalazł się w tej postawie błagalnej, z rękami złożonemi, przed obliczem zagniewanem pani Regnauld. Młoda kobieta roześmiała się wesoło na ten widok, i zupełnie rozbrojona, podała mu rękę na znak przebaczenia.

Teissier, który przez dłuższy czas nic nie słyszał, poruszył ręką storę niecierpliwie, aby coś zobaczyć. Françis jeden zrozumiał to poruszenie, jakby wiatru silnego. Uczuł chęć szaloną, najprzód ukarać go za nikczemne podsłuchiwanie, następnie dać mu odprawę ostateczną. Wstał więc z kolan, i rzekł głosem zimno-urzędowym:

— Pozwól pani jednak wypełnić polecenie przyjaciela, i racz powiedzieć co mu mam odpisać?

— Pan Dramond ma słuszność zupełną — dorzuciła pani Regnauld z powagą macierzyńską — musisz się na coś stanowczego zdecydować. Jeżeli kochasz pana Teissier, to wszystkie te kłótnie są dziecinne — jeżeli zaś go nie chcesz, powiedz to wyraźnie twojemu ojcu, który przecież zmuszać cię nie będzie.

— Nie kocham go — rzekła Melanja stanowczo.

Dramond spojrzał ku oknu. Story znowu się gwałtownie poruszyły, jakby ręka niewidzialna targnęła niemi konwulsyjnie. Wyznanie Melanji trafiło do celu. Zwrócił się do niej z okiem rozjaśnionem, z uśmiechem szczęścia na ustach.

— A przecież przyrzekłaś mu pani swoją rękę? — przemówił z dyplomacją, godną Machiavela.

— Bo byłam dzieckiem głupiem i niedojrzałem — odpowiedziała żywo, z prześliczną minką pogardliwą, którą zwykle przybierają dziewice, gdy kochać zaczynają, mówiąc o owych latach dziecięcych, kiedy ich serce spało. — To małżeństwo zadawalniało mego ojca, a ja w mojem niedoświadczeniu, nie myślałam wcale o panu Teissier, tylko o Paryżu, balach i toaletach młodej mężatki. Dzięki Bogu przejrzeliśmy dość wcześnie oboje. Może być, że ja tu najwięcej zawiniłam, że jestem nieznośna, kapryśna, popędliwa... Nie mam wprawdzie tak złego o sobie wyobrażenia, powtarzano mi jednak tak często, że posiadam wszystkie wady rozpieszczonej jedynaczki, iż w końcu i sama w to uwierzyłam. Potrzebuję więc znaleść w przyszłym mężu wiele wybaczliwości — tu pomięszana oczka w dół spuściła — a pan Teissier tak mało mi jej okazywał. Teraz wiem, że byłabym z nim najnieszczęśliwszą. Nie kochając go, nie umiałabym kłamać uczucia — przynajmniej to mi każdy przyznać musi, że jestem aż za nadto szczerą — a ta moja otwartość może by mu przykrą była. Spodziewam się, iż to są dostateczne powody, by zerwać z nim zupełnie.

Françis zaczął chodzić po altanie udając wielkie wzruszenie:

— Jeżeli by jednak powrócił? — zagadnął Melanję — jakbyś go pani przyjęła?

— Powtórzyłabym mu co do słowa, to coś pan dopiero usłyszał.

— Jakto? Gdyby tak znalazł się nagle, niespodziewanie przed panią, w postawie błagającej, miałażbyś serce mu powiedzieć...

— Powiedziałabym mu otwarcie: „Nie kocham pana, i nigdy żoną twoją nie będę!“ — zawołała Melanja z żywością i prawie z płaczem, gdyż nie umiała sobie wytłumaczyć, co znaczą te pytania, tak niezgodne z wyrazem oczów i ze słowami poprzedniemi Françisa.

Dramond tak kroki swoje pokierował, że w tej chwili stał o okno oparty. Szybko jak błyskawica, podciągnął storę do góry, i odsłonił scenę, jak kiedy kortynę w teatrze podniosą. Słońce wpadło do pokoju dotąd przyciemnionego, oblewając całą strugą swych promieni, aktorów wewnątrz i zewnątrz altany.

Pani Regnauld, na widok nieszczęśliwej i skrzywionej postaci Teissiera, który wisiał w powietrzu, do balustrady balkonu przyczepiony, w pierwszej chwili krzyknęła przeraźliwie — biorąc go za złodzieja. — Melanja poznawszy od razu eks-narzeczonego osłupiała! Dramond zaś, odegrał rolę podziwienia, z wprawą aktora skończonego:

— A! dzień dobry mój drogi — przemówił z najsłodszym uśmiechem, przez okno rękę do przyjaciela wyciągając. — Jakże mi się miewasz?

Teissier próbował uśmiechnąć się nawzajem, był jednak tak wycieńczonym, bez sił, kolana mu drżały, pręty żelazne balustrady ręce mu kaleczyły, takie śmiertelne dreszcze po nim przebiegały, gdy się ujrzał złapanym, na gorącym, a nie bardzo szlachetnym uczynku, że jego uśmiech miał w sobie coś tak płaczliwego i miłosiernego, iż obiedwie panie, wybuchły śmiechem szalonym, niczem nie wstrzymanym, i uciekły w głąb pokoju. Jeden Françis zimnej krwi nie stracił.

— Co u licha robisz tu, rozwieszony na słońcu, jak dojrzywające winogrona? — zapytał znowu, schwyciwszy go za ramię, jakby mu chciał dopomódz i wciągnąć do pokoju.

Teissier zamierzał istotnie wskoczyć na okno. W tej chwili jednak, jakby grad kul, uderzyły go w piersi wybuchy śmiechu, z rogu pokoju wychodzące, gdzie panie siedząc na otomance, prawie już kurczów śmiejących dostawały. Resztę sił stracił. Śmieszność jego położenia przytomność mu prawie odebrała. Czuł że jest tą śmiesznością zabity bez ratunku w oczach Melanji. Rozpacz go ogarnęła, stężał cały, i runął na ziemię. Françis nie bardzo silnie go podtrzymywał, a zobaczywszy, że wstał bez szwanku i odchodzi szczęśliwie, by więcej nie wrócić.

— Finità la Comedia! — mruknął przez zęby, i storę spuścił jak kortynę. Gdy się obrócił w stronę pań ujrzał jedną panią Regnauld... Melanja uciekła z altany.

— Czyś pan wiedział, że on tam jest? zapytała młoda kobieta, z miną nadzwyczaj poważną.

— Doskonale! — odpowiedział nie mniej poważnie.

— I nie masz pan wyrzutów sumienia?

— Kocham!

— Czy myślisz pan, że tem jednem słowem, można zawsze rozbroić kobietę?

— Jestem o tem najmocniej przekonany!

Pani Regnauld zamyśliła się głęboko.

— Pański przyjaciel, miał za mało sprytu i rozumu, by dać sobie radę z taką bystrą jak Melanja dziewczyną. Nie powiem panu, że masz go aż zanadto, bo nie chce obrazić pańskiej skromności. Wyznam jednak, że mistrzowstwo w odegraniu tej roli, daje mi wiele do myślenia. Za nadto dobry aktor z pana. Przypuściwszy, żebyś został kiedy jej mężem, czy miłość dla Melanji, nie jest także udaniem? Czy aby ją, kochasz pan szczerze?

— Z całej duszy! — zawołał młodzian, — tak gorąco i z taką prawdą, że tego akcentu, nie znalazł by w swoich piersiach nawet najlepszy artysta dramatyczny.

Pani Regnauld, porównała mimowoli, dźwięk tego głosu, młodego i pełnego zapału, z głosem powolnym, i jak garnek rozbitym, pana Regnauld. Pierś jej podniosła się westchnieniem, prędko jednak zamaskowała go jak zwykle uśmiechem, który miał być ironicznym, a był tym razem raczej melancholijnym.

— Wierzę panu — szepnęła. — Teraz więc nic panu nie przeszkadza pomówić szczerze i otwarcie z moim wujem.

— A może wprzódy wypadałoby uzyskać przyzwolenie panny Melanji? — rzekł pobożnie z minką niewiniątka Françis. — Nie wiem czy mnię kocha... nie mogę przeto...

Pani Regnauld, od stóp do głowy okiem go zmierzyła, a niedając mu dokończyć, z największą indygnacją plecy mu pokazała i wyszła.

Nie zrażony bynajmniej, wybuchem złego humoru ze strony pani Regnauld, Dramond postarał się nazajutrz o drugie wydanie poprawniejsze, rozmowy z Melanją, tym razem bez świadków, w której usłyszał najwyraźniej z jej ustek różowych, że go kocha nad wszystko, nawet więcej niż Solimana. To pytanie Dramonda, wywołało mimo łez, które jej piękne oczka ćmiły, śmiech tak wesoły ze strony Melanji, że zapomniała na chwilę o wielkiej swojej godności, panny zakochanej, a przemieniła się znowu w dziecko lube i naiwne. Z tą pewnością, że jest przez nią kochanym, udał się dopiero do papy Simart, który z początku wielkie oczy zrobił na tę nagłą zmianę, gdy jednak usłyszał, że Teissier pierwszy o zerwaniu myślał że chciał jego najdroższą jedynaczkę tak skompromitować, wpadł w gniew niesłychany, jakiego w życiu nie doświadczył, a że Dramonda polubił szczerze, nie zwlekał więc długo z przyzwoleniem.

— Wszak to nie ja, tylko ona za mąż wychodzi, niech więc robi jak myśli — i uściskał jak syna Dramonda. — Ale ten mądral! ten kunktator! niech mi się na oczy nie pokazuje, bo za nic nie ręczę!

Françis był na tyle wspaniałomyślnym, zabrawszy przyjacielowi z przed nosa narzeczoną, że przynajmniej stanął w jego obronie, jak mógł wytłumaczył, i do tego doprowadził najpoczciwszego tatuńcia, że śmiejąc się na całe gardło, przystał żeby eks - narzeczonego, na drużbę zaprosić.

— Toś mu figla wystrychnął, jak Boga kocham! Zaproś, zaproś, dla osobliwości, ale tak głupim przecie nie będzie, żeby miał przyjechać.

Przygotowania do ślubu, robiły się z pośpiechem nadzwyczajnym. Papa Simart chciał pomścić jak najprędzej na Teissierze, krzywdę swojej córki, i pokazać mu Melanję w Paryżu, u boku męża, który był od niego młodszym, piękniejszym i bogatszym.

Françis, jak każdy młody człowiek zakochany, uważał czas narzeczeństwa, za czyściec prawdziwy, i jak dusze w czyścu do nieba wzdychają, tak on dnia ślubu wyglądał. Na jego szczęście nawet wyprawa była zupełnie gotową, ten szkopuł, o który rozbija się zwykle niecierpliwość narzeczonych. Melanja w niewinności swojej anielskiej, czuła się już szczęśliwą jak nigdy przedtem nie była, gdy jednak narzeczony ją zapewniał, że po ślubie dopiero osiągną szczyt najwyższy rozkoszy nadziemskich, wierzyła mu na słowo. I jakże wierzyć nie miała, kiedy coraz czulej za rączkę ściskał, coraz głębiej tonął okiem czarnem, płomienistem, w jej cudnych źrenicach, tak że biedne młode serduszko, biło jak młotem w jej łonie, rozpierane uczuciem dziwnem, nieznanem, które i ból i rozkosz niewymowną jej sprawiało.

W sześć tygodni wszystko było załatwione, i młoda para została na zawsze połączoną. Papa Simart, wierny swojej do klechów (tak zawsze księży nazywał) antypatji, zrobił wniosek, by na ślubie cywilnym poprzestali, gdy go atoli wszyscy, nie wyłączając pana młodego, zakrzyczeli, płakał potem rzewnie w kościele, podczas pięknej przemowy do młodych małżonków, księdza katolickiego, i prosił gorąco Chrystusa ukrzyżowanego, który jaśniał na pięknym obrazie w wielkim ołtarzu, w całym swoim smętnym majestacie, by jego jedynaczce oszczędzał krzyżów w życiu całem, a róże szczęścia i miłości słał jej pod nogi.

Na kilka dni przed ślubem, Françis taki list do Teissiera wystosował.

„Kochany Hektorze! Dziwne są losu igrzyska: dwa miesiące temu tyś mnię na swój ślub zapraszał — dziś ja cię na mój wzywam, i rzecz szczególna! niezwykła! żenię się z tą samą osobą, której ty się wyrzekłeś. Spodziewam się iż nie masz do mnię żalu, i że w czasie obydwaj powinszujemy sobie, iż tak, a nie inaczej się stało. Jeżeli chcesz mi dowieść, że się nie gniewasz, przyjedź ty teraz, spełniać obowiązki, które na mnie włożyć chciałeś. Przyjmą cię tu, otwartemi ramionami, jak przyjaciela. Wszystko dawne zapomniane. Można zerwać małżeństwo projektowane, ale taka przyjaźń jak nasza, która datuje się od lat dziecięcych, nie da się wyrwać z serc, póki bić nie przestaną! Ja też zostaję twoim na wieki najszczerszym i najżyczliwszym Françisem“. (C. d. n.)

Nawrócony.

(C. d.) W dużym, narożnym pokoju, pod „Następcą tronu“ zebrane było wesołe towarzystwo. Biła właśnie dziesiąta, gdy próg przestępowałem. Niechcący zadługo zasiedziałem się nad robotą, a to wywołało ogólne wymówki. Rudolf wziął mnie natychmiast na stronę i szepnął z żywością:

— Wszystko w porządku! pierwsze kroki już poczynione. Na drodze do domu opowiem ci bliższe szczegóły.

— Jakto chcesz mnie przypuścić do tajemnicy? — zapytałem zdumiony.

— Czyż nie mam twojego słowa, że będziesz milczeć?

— Na nieszczęście. Ale przysięgam, że z tą samą pewnością możesz na to liczyć, iż nie poruszę nawet palcem, aby twoje niegodne plany poprzeć.

— Nie potrzeba. Masz tylko moją zręczność, mój dyplomatyczny talent podziwiać. Każdy artysta pragnie zbierać laury, ty będziesz dla mnie publicznością.

— Co tam macie za sekreta — zawołał teraz od stołu jakiś potężny głos basowy.

— Bez wątpienia idzie tam znowu o jakąś niegodziwość — dodał śmiejąc się drugi.

— Prosimy na swoje miejsca i zaraz się wyspowiadać! — rozkazał pierwszy.

— Ależ mylicie się! — odparł obojętnie Rudolf — mówiliśmy o interesach.

— Co? jak? o interesach? — zawołano chórem — ty Rudolfie mówisz o interesach? Cha! Cha! jest to najlepszy z dowcipów jaki od dwóch tygodni wyszedł z twego warsztatu!

— Mówię zupełnie serjo!

— On mówi na serjo! I można wiedzieć?...

— Dlaczego nie? Objąłem wczoraj redakcję Gazety Rodzinnej i naradzam się z naszym przyjacielem nad mitologicznym dodatkiem.

Śmiech ogólny.

— Jesteście półgłówki — zawołał z godnością Rudolf.

— Mocno obowiązani — powiedział bas. — I dlatego myślisz nas oszukać jakąś bajeczką.

— Żart na stronę! przeczytajcie ten list. Chciałem wam zrobić niespodziankę, aleście mi szyki popsuli.

Wyciągnął jakiś papier z kieszeni. Jeden z naszych przyjaciół przeczytał.

— To zdaje się być w porządku — podjął znowu bas po dość długiej pauzie. — Ale na miłość boską, zkąd się to tobie wzięło najniespokojniejszy duchu pod słońcem, niezmordowany włóczęgo, który czterech tygodni na miejscu dosiedzieć nie możesz.

— Mamże całe życie hiszpańskie i włoskie drogi niepokoić? Wróciłem do Niemiec ze stałym zamiarem choć przez rok jeden grać rolę spokojnego obywatela. Warunki, jakie mi postawił wydawca, były możliwe do przyjęcia, praca nie wydaje się zanadto ciężką, złośliwa krytyka jest i tak ulubionem mojem rzemiosłem. Dla czegóż więc nie miałem przystać? Jeżeli mi się to z czasem sprzykrzy, będę jeszcze mógł wszystko rzucić. Zastrzegłem sobie prawo trzymiesięcznego wymówienia.

— Ależ i trzymiesięczny termin przy twojem usposobieniu jest wiecznością — mruczał Fryderyk, właściciel basu.

— Było to największe ustępstwo na jakie się dał namówić pan Wendelin.

— A zatem winszujemy — zawołali inni. Ja, przy zwierzeniach Rudolfa, musiałem wyglądać na człowieka porządnie zdziwionego, bo Fryderyk wychyliwszy swój kieliszek, potrząsnął głową, i odezwał się z wielką powagą:

— A teraz powiedz nam, co miałeś za sekreta z profesorem, bajeczka o historycznym dodatku, czy coś podobnego, nie wyprowadziła nas w pole. Może ty się żenisz? Kiedy zdecydowałeś się wreszcie tu ustalić, to i to następstwo by mnie nie zdziwiło.

Całe towarzystwo się śmiało. Rudolf widocznie był zmięszany.

— Zgadłem! — zawołał Fryderyk z tryumfującą miną. — Jak mi Bóg miły! jak to się jednak czasy zmieniają! Czy pamiętasz przed pięciu laty? Poczciwy Gebhard wściekał się na ciebie... Jakże ona się nazywa... Eliza czy... Nie to brzmiało inaczej... Edyta czy coś podobnego... stawiliście ją niby na los, a na zakończenie miałeś mówkę o kobiecie, która dzięki Bogu nie była stenografowaną. Zatem chcesz się żenić?

— Któż to mówi?

— Ja się pytam ciebie!

Rudolf zdawał się namyślać chwilkę. W około ust jego igrał nieznaczny uśmiech.

— A zatem, jeżeli koniecznie wiedzieć chcecie — powiedział po chwili — tak, żenię się.

Całe towarzystwo skamieniało i dopiero po pewnym przeciągu czasu ochłonęło.

— Jakto? Co? Czy być może? Z kim? Czy piękna? młoda? bogata? — odezwano się chórem. — Ty Rudolfie żonkosiem?... Ależ to myśl Boska! Gdzie mieszka? jak się nazywa? O serce ludzkie jakże jesteś zmiennem!

— Więcej nie dowiecie się odemnie! — odpowiedział Rudolf spokojnie. — Nie jestem zupełnie pewnym swego. Skoro wszystko będzie ułożone, wtajemniczę was.

Wszelkie usiłowania wyciągnięcia z niego dalszych zwierzeń były bezskuteczne. Skoro spostrzegli, że nic z niego więcej nie wyciągną, zaczęli szturmować do mnie, jako do mniemanego powiernika, tego kandydata małżeńskiego stanu, również jednak napróżno. Ostatecznie oswojono się z tym cudem i uwierzono.

Już dawno północ minęła, gdy szedłem obok Rudolfa pustemi ulicami.

— Wzruszyłeś ich potężnie — rzekłem z wolna.

— Mniejsza z tem. Uważałem to za odpowiednie memu celowi, ażeby od początku zrobić sobie sławę nawróconego. To mi drogę utoruje i musi każdą wątpliwość, co do szczerości moich zamiarów zagładzić.

— Jesteś wyrachowanem stworzeniem. Prawdziwie nie byłbym cię posądzał o taki dar okłamywania.

— Milcz moralisto, niech ci opowiem jak się szczęście do mnie uśmiecha, posłuchaj!...

— Ach! tak, w istocie, chciałeś mnie wtajemniczyć...

— Otóż wystaw sobie będę ją widział prawdopodobnie jutro, a w każdym razie najdalej pojutrze.

— Kogo?

— No kogóż innego, jeżeli nie czerwoną Julę! O Edycie przecież tymczasowo mowy być nie może.

— I gdzież ją zobaczysz?

— W domu jednej z przyjaciółek.

— Jakimże sposobem tę przyjaciółkę wynalazłeś.

— Za pomocą mego dyplomatycznego rozumu.

— Słuchaj i podziwiaj: Jak ci to już wiadomo, Jula zamieszkuje z ciotką pierwsze piętro w domu Fabera. W parterze, w tymże domu, znajduje się księgarnia Grebena. Wchodzę tam i każę sobie rozłożyć cały stos nowości. Jeden z młodych ludzi, obsługujących w księgarni, zdawał mi się dostatecznie cywilizowanym, ażeby z nim zawiązać rozmowę. Niechcący dowiaduję się o tem i o owem. Traf chce mieć, że on bywa w domu rodziny rudej czarownicy. Zaczynam en bagatelle mówić o Julii.

— Ma to być bardzo wykształcona osoba, — powiadam.

— O bardzo — odpowiada — należy do osób najwięcej u nas kupujących.

— Oddaje się zapewne językom obcym — powiadam — jest to głównem zajęciem dzisiejszego świata kobiecego.

— Zapewne — powiada młodzieniec — czytuje dużo po angielsku i po włosku.

— Ach! — zawołałem z żywością — i po włosku.

— Tak jest; pewne kółko młodych osób zawiązało stowarzyszenie, mają kolejne zebrania i studjują razem Danta, Petrarkę, Manzoniego i Bóg wie co jeszcze.

— I któż należy do tych literackich, tajemnych stowarzyszeń? bardzo mnie to interesuje, ja sam jestem zapalonym zwolennikiem języka włoskiego...

Młody człowiek wymienia mi kilka nazwisk, między temi moją kuzynkę Ludwikę Walter, nie wiem, czy ją znasz, stare pudło o trzydziestu kilku wiosnach, zresztą dobre stworzenie, żywiące w wysokim stopniu serdeczne uczucia powinowactwa dla krewnego, nie okazującego jej żadnych względów. Co dalej nastąpiło, możesz sobie wyobrazić. W tejże chwili robię Walterom wizytę, jestem z uprzedzającą grzecznością, naprowadzam rozmowę na włoską literaturę, ogłaszam się zapalonym zwolennikiem Petrarki, zbieram jako owoc uprzejmy uśmiech, i jestem wreszcie zaproszony na następne posiedzenie włoskiego języka. Ludwika ma jeszcze dać mi znać czy odbędzie się jutro, czy pojutrze. No i cóż ty na to mówisz?

— Zrobiłeś co tylko było możebnem w tak krótkim czasie. Ale czy ty na serjo chcesz....

— Dobra noc! Oszczędź swoją wymowę na katedrę.

Wyciągnął do mnie rękę i w tejże chwili puścił się pospiesznie w najbliższą przecznicę.

Zadumany bardziej niż kiedykolwiek, pospieszałem do domu. Wrażenia dnia ubiegłego zajmowały mnie tak silnie, że zasnąć nie mogłem. W takich okolicznościach, pisanie jest prawdziwie uspokajającym środkiem. Usiadłem przy biórku i przelałem na papier moją rozmowę z Rudolfem tak wiernie, jak gdyby tu szło o kryminalną sprawę. W samej rzeczy, niezwykła oryginalność położenia, zdawała się usprawiedliwiać dostatecznie pełną zamiłowania akuratność, z jaką przystępowałem do dzieła, pomijając nawet egoistyczny powód uleczenia się z bezsenności. Stałem tutaj przed psychologiczną zagadką, która wartą była szczegółowego rozbioru.

Dopiero około drugiej położyłem się do łóżka. Awanturnicze zamiary Rudolfa, przesuwały się w oczach moich pod złowrogiemi postaciami. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Krwawy dramat. Przed paryzką ławą przysięgłych odegrał się epilog strasznego dramatu, który najwymowniejszą powinien być wskazówką, w jakiem poszanowaniu mieć należy wielkie zasady religji i moralności w stosunku do zasad życia rodzinnego, i jak boleśnie, a nawet krwawo mści się częstokroć wszelkie wykroczenie po za sferę surowego obowiązku.

Od paru lat Karol Gaudot i Leontyna Puthomme żyli ze sobą bez sankcji kościoła; on miał lat 19, ona 16... poznali się na jakimś balu.

Młodzik opuścił swą rodzinę, ponieważ kochanek jego matki bił ukochaną przezeń siostrę.

Widocznie wszystkie węzły moralne w tym domu były stargane.

Karol i Leontyna, poznawszy się, szybko uczuli miłość serdeczną i głęboką ku sobie, najęli mieszkanie mansardowe przy ulicy de Meaux nr. 8, i stworzyli sobie ciche, rozkoszne ognisko życia rodzinnego.

To właśnie było ich winą i w tem tkwi zaród ciężkiej kary.

Poznali się w r. 1877; razem nie liczyli podówczas jeszcze 33 lat.

Takie „dzikie małżeństwa“ dzieciaków prawie spotykamy często w odleglejszych dzielnicach Paryża.

Gaudot pracował. Zarabiał on u pewnego fabrykanta farb 5 franków dziennie.

Pierwsze miesiące tego karygodnego życia spłynęły dosyć szczęśliwie, urodziła się dziewczynka.

Młody ojciec kochał swe dziecko, ale młodej matce sprzykrzyło się niebawem karmić je i wychowywać.

Pewnego dnia, gdy Karol przyszedł do domu, nie zastał już dziecka. Podczas jego nieobecności Leontyna odniosła je do domu podrzutków; wróciwszy zaś, spaliła kolebkę, ażeby zatrzeć wszelki ślad swego macierzyństwa.

Jak się zdaje, od tej chwili datowało się ciche rozgoryczenie pomiędzy „małżonkami.“

Leontyna była osobą płochą i lekkomyślną, nienawidziła przedewszystkiem pracy; natomiast, podczas kiedy Gaudot ciężko pracował, nie wahała się nawiązywać miłostki tajemne. Wreszcie Gaudot dowiedział się o nich.

Stracił zmysły — owładnęła nim straszna zazdrość.

Egzaltowany ten w najwyższym stopniu człowiek powziął zamiar — było to dnia 7. grudnia 1878 — śledził za żoną.

Oczekiwał jej na rogu ulicy; niebawem nadeszła istotnie w towarzystwie przyjaciółki i dwóch młodych mężczyzn.

Gaudot porwał ją za ramiona i powlókł za sobą do mansardu. Tam rzucił ją na ziemię i począł deptać nogami.

Leontyna, bezprzytomna z boleści wołała: iż woli umrzeć, aniżeli tak cierpieć.

„Trucizny, trucizny... ah! gdybym miała truciznę“! — szeptała złamanym głosem.

Gaudot odpowiedział spokojnie: — Chcesz się otruć?... Dobrze, poczekaj na mnie“.

Zeszedł na ulicę i kupił w najbliższym sklepie farb pewien zielony barwik, którego trujące własności znał ze swego zawodu.

Następnie powrócił do izdebki, przyrządził szklankę wody z cukrem, wsypał do niej sporą dozę trucizny i podał napój Leontynie.

— Masz więc, wypij — dodał — a przyrzekam ci, że za dwie godziny nie będziesz wiedziała o świecie Bożym.

Leontyna wzięła podaną sobie szklankę i wychyliła ją do ostatniej kropli. Gaudot siedział spokojnie na jej łóżku.

Niebawem okazały się straszne skutki trucizny.

Gardło jej zupełnie wyschło — okropne zbudziły się boleści w żołądku.

Prosiła go, ażeby także wypił truciznę.

Ale on wzruszył ramionami i rzekł:

— To przecież byłoby głupstwem, aby młody, dwudziestoletni chłopiec zabijał się...

— W takim razie daj mi przynajmniej więcej trucizny, bo cierpię strasznie.

Karol przyrządził więc drugą dozę trucizny i podał jej.

Nie chciała jednak wypić drugiej szklanki, bo tymczasem żądza utrzymania się przy życiu wzięła górę nad pragnieniem śmierci.

Napisała parę słów do ojca, które tak brzmiały:

— Ojcze! piszę tych parę wierszy, ażeby ci donieść, że pragnęłabym cię zobaczyć... Jestem bowiem chorą i zanim przyjdziesz, może już nie będę żyła... przyjdź więc, nie gniewaj się!... ale przyjdź prędko... ciemno mi już w oczach, drżę cała, umieram... drogi ojcze, ściskam cię i całuję — twoja ciężko winna córka „Leontyna".

Prosiła Karola, aby ten list odniósł.

Na żywe jej prośby, dał się nareszcie wzruszyć.

Ale zanim odszedł, wyrzucił przez okno na sąsiedni dach niżej położony, jej suknie, ażeby nieszczęśliwej odebrać wszelką możność wyjścia z mansardu.

Pozostawił ja na pastwę śmiertelnych boleści.

Po dwóch godzinach wrócił.

Ojciec Leontyny, przeczytawszy list, zauważył tylko:

— Cóż za nowe głupstwo, chce zrobić ta dziewczyna!

Ale gdy Gaudot wszedł do izdebki, nie znalazł już Leontyny.

Biednemu dziewczęciu udało się pozbierać jakie takie okrycie i pół naga dowlokła się do drzwi.

Zawołała o pomoc, zbiegli się sąsiedzi opowiedziała im co zaszło. Porwano ją więc co prędzej do najbliższej apteki a ztamtąd do szpitala Lariboisiére.

Tam umarła po czterech dniach, wśród najokropniejszych boleści, nie pożegnawszy się nawet z ojcem, który do ostatniej chwili wzbraniał się ją odwiedzić.

Karola Gaudot aresztowano.

Przybrał on teatralną pozę, uważając się za bohatera romansu, który zabił kochankę w chwili, gdy się dowiedział, że jest mu niewierną.

Wkrótce jednak zachowanie się jego miało inne formy, a przed sądem wyglądał upokorzonym i głęboko skruchą złamanym.

Płakał za Leontyną... Twierdzi on, że nie sądził, ażeby trucizna, którą przywiózł, mogła zabić Leontynę; pragnął ją jednak strachem poprawić.

Prokurator jeneralny Loubers oskarżał go jednak o otrucie.

Słynny adwokat Lachand, przyjąwszy obronę zbrodniarza, kładł nacisk na tę okoliczność, że Gaudot nie jest trucicielem z zawodu, że dopomógł on tylko do pożądanego przez drugą osobę samobójstwa, że wprawdzie odpowie on ciężko przed Bogiem, ale nie zasłużył na karę ludzką.

Po długich obradach sąd przysięgłych oświadczył, że Gaudot winnym jest otrucia Leontyny.

Gaudot skazanym został na 8 lat ciężkich robót.

Jeżeli nie skazano go na śmierć, to tylko dla tego, aby tem surowiej potępić występek kobiety, która w grę procesu wchodziła, i tem wyżej postawić w czci ogólnej ideę rodziny, której praw naruszyć nie wolno żadnej „damie kameljowej", choćby jej bronił — Aleksander Dumas.

Projekt zmiany klimatu. Zimna i katastrofy atmosferyczne panujące w tym roku w Europie, zwróciły na siebie powszechną uwagę uczonych i nieuczonych. Jedni widzą przyczynę w wybuchach Etny, inni w plamach na słońcu, inni nakoniec, a w ich liczbie niejaki p. Malapaire daleko głębszych i dawniejszych wyszukuje powodów. Wydał on w tych dniach broszurę p. t. „Wieczna wiosna", w której usiłuje nietylko odpowiedzieć na pytania co do klimatu teraźniejszego Europy, ale zarazem kreśli środki, któremiby można przywrócić tej części świata dawny, ciepły klimat. Autor przypomina naprzód że był czas, w którym Francja cieszyła się klimatem stref podzwrotnikowych. W dolinie Rodanu rosły wówczas palmy— śnieg i lód były tam całkiem nieznane. Przyczynę stopniowego oziębiania się lądu Europy p. Malapaire widzi w zmianie kierunku prądów morskich, znanych pod nazwą prądu równikowego i golfowego. W owym złotym wieku, o przywróceniu, którego marzy autor, oba te prądy zlewały się w jeden wielki prąd, który obmywał brzegi Europy i Afryki, wskutek czego Anglia i Francja cieszyły się przepysznym klimatem. Od tej chwili jednakże dno morskie znacznie się podniosło, na przestrzeni od zatoki Meksykańskiej aż do Lizbony. Podniesienie się to dna morskiego utworzyło wyspy Przylądka Zielonego. Teneryfę i brzegi Portugalii, oraz zmieniło kierunek prądów morskich, wskutek czego zmienił się zarazem klimat Europy zachodniej, róże przestały kwitnąć podczas zimy a winogrona dojrzewać na wiosnę. Chcąc więc przywrócić Europie dawniejszy klimat, należy zwrócić ciepłe prądy w poprzednim kierunku, a w tym celu, podług autora, dostatecznem będzie zbudować w pobliżu wysp Przylądka Zielonego tamę, któraby nie dozwalała prądowi golfowemu zwracać się ku środkowi oceanu Atlantyckiego, ale skierowywała go ku morzu Bałtyckiemu. Tama, podług rachunku autora, winna mieć sześć do siedmiu kilometrów długości; materjału na nią dostarczą sąsiednie wyspy, w razie potrzeby nawet można będzie zrzucić w morze górę Teneryffę. Po zwróceniu ciepłego prądu ku brzegom Europy, podług autora, temperatura podnieść się musi o 17 stopni wyżej od obecnej normy. Łatwo sobie wyobrazić jaki przewrót podobna zmiana ciepłoty, sprawiłaby w całej kulturze europejskiej. Fantazja jednak autora idzie dalej. Proponuje równocześnie różne środki, które mogą regulować deszcze i wiatry, a które opiera na następujących danych: Podług niego, przyczyną deszczów są kry lodowe odrywające się od masy podbiegunowych lodów, unoszone przez wody aż do Newfundlandji, gdzie tając stopniowo, tworzą olbrzymią masę pary, pływającą ponad ziemią. Z tego wynika, że dla uniknienia ciągłych deszczów dostatecznem będzie wysyłanie naprzeciw płynących lodowisk okrętów wszelkich rozmiarów, w rodzaju n. p. *Great Eastern*, które nie zajmując się rozbijaniem lodowisk, chwytałyby je i odciągały do jakiego stopnia szerokości geograficznej, w której proces tajania mógłby się odbywać bez uszczerbku ciepłoty w Europie. Z drugiej znów strony, jeśliby w Europie dał się uczuwać brak deszczu, to okręty zajmowałyby się przyciąganiem tychże lodowisk ku jej brzegom na mniej więcej znaczną odległość, odpowiednio do ilości potrzebnego deszczu. Tym sposobem w dziennikach mogłyby się ukazywać następujące ogłoszenia: „Zawiadamia się Europę, że od d. 15. kwietnia do 1. maja deszczu wcale nie będzie" albo „Zawiadamia się Europę, że deszcze będą padały od 1. do 6. maja.

Kodeks towarzyski. Ziemianie w powiecie łęczyckiem (w Królestwie Polskiem) postanowili wizyty sąsiednie i liczniejsze zebrania ograniczyć do dni świątecznych i niedzielnych. Został ułożony oddzielny kodeks towarzyski, mocą którego gospodarz przyjmujący gości u siebie powinien zaznajomić się z jakąś nowością agronomiczną lub literacką bliżej ziemian obchodzącą, ażeby ta dała temat do pogadanki i uwag. Wystawne przyjęcia na tych zebraniach są wzbronione.

Taki przykład i u nas byłby na czasie.

Wyborny znawca.

— Cóż mówisz o „Grunwaldzie" Matejki?

— Nieco chaotyczny — ale za to koloryt świetny...

— Czy widziałeś w Krakowie, czy u nas?

— Nie, na... fotografji.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.